

Miejsce Tam Gdzie Nikt Cię Nie Znajdzie okazało się być niewielkim, dechami zabitym siołem, kilka domostw, rozrzuconych wzdłuż polnej drogi, broniło obcym dostępu do lasu, poorane mrozem zasy, spękane smutkiem, niczym dziadkowe policzki w Wielki Piątek, koronami swoich szczytów majestatycznie sięgały ku niebu, w oczekiwaniu. A w niecierpliwości tej, zdawało by się, niegnuśnej, pośrodku, otoczony murem, stał ceglany, prosty budynek, zwieńczony spiczastym dachem, rozświetlony rozstawionymi wokół lampionami.

- Tu jest twoje miejsce - powiedział tato. - Tu zostaniesz.

Wnętrzem domu władała czysta, nieskalana miejskim blichtrzem prostota, wysublimowany rodzaj artystycznego miłosierdzia, spieszącego na ratunek wszystkim zagubionym i zbłąkanym, pragnącym choć przez chwilę poczuć ciepło rodzinnego domu. Był to klasztor, witający przybyszów uśmiechem pilnującej furty Panienki z Lourdes, lecz jakoś - niezwykajnie - przytulał delikatnym ciepłym powiewem kominkowego ognia, pieścił zapachem swojskiego jadła, czarował magią kwiatów, rozpiętych w baldachimie ponad, królującym na głównej ścianie holu, hakowatym, wypełzającym z portretu, nochalem nieznanego świętego.

- To Karol Boromeusz, nasz założyciel - oznajmiła mniszka - o twarzy pięknej, dopiero co wykrojonej z żurnala - widząc, jak niepokornie wbijam swoje gówniarskie ślepie w ten, sterczący, nieprawdopodobnej wielkości, organ powonienia. - Nauczysz się.

Tego samego wieczora zjawiała się, bezszelestnie, u wezłowia mojego łóżka, i, wsunawszy pod kołdrę niewielki, w skórę oprawiony tomik, wyszeptała, powoli, niczym modlitwę:

- Ty też będziesz kiedyś taki, jak on.

Nie minęło kilka dni, przysięgam, już chciałem nim być. Rozpłynąłem się w tym domu, w każdym jego kącie znajdowałem załączki cudów: przeistaczałem się podczas porannych mszy, w refektarzu - stawiałem się świeżo upieczonym chlebem, warzywem, południową porą wywlekanym ze spiżarniego chłodu i wieczornym różańcowym paciorkiem, wypieszczonym smukłymi palcami matki przełożonej. Pokochałem siostry: i strzelistą Synezję - nieprzyzwoicie wypychającą mi kieszenie spodni najróżniejszymi łakociami, i Amatę - niepozorną intelektualistkę, znad okularów, zsuniętych na zastygłe w fazie wydechu nozdrza, drżeniem gałek - wyrzucającą swój wzrokowy niepokój, wreszcie - Sebaldę - hafciarkę, złotem inkrustującą tkaniny, niczym Fidiasz swojego Zeusa, mistrzynię chryzelefantyny, która okazała się być babciną siostrą, wszystkie one miłośnie współlistniały ze mną, a ja z nimi, per ipso et cum ipso et in ipso, od świtu do zmierzchu, od jutrzni do niesporów, niewinnie, doskonale, ostatecznie.

Najbardziej magiczna - Sebalda - filigranowa, o rozstrzelonej fizjonomii Louisa de Funes, babcina siostra, śpiewająca po niemiecku cudownym, bawarskim akcentem, amatorka piwa, po które, każdej niedzieli, posyłała miejscowych chłopaków, przynosili w stągwiach, niczym kananejską wodę, a ona - odmawiając krótką modlitwę, rozpoczynała oktoberfest iście vo Minga (kto jej dawał dyspensę - nie wiadomo), częstokroć trwający aż do wieczornej modlitwy, kiedy to przerywała chmielową fiestę, precyzyjnie, jak czas, wskazywany przez (noszoną przez nią za pazuchą) srebrną przedwojenną busolę z Schaffhausen (memento mori - tak ciotka nazywała to urządzenie) i , wypełniona po brzegi kilkoma litrami złotego płynu - wracała do zakonnego życia: Deus, in adiutorium meum intende. Domine, ad adiuvandam me festina.

Podarowaną mi książkę znałem na pamięć już po tygodniu, każde słowo, cytat, w te i we wte, żyłem w

tych stronicach, w głębi rozdziałów, nocami istniałem jedynie tam, w dalekich Włoszech, prowadziłem pokutne procesje, bosy, ubrany jedynie w włosienicę, drżący febrą, ale szczęśliwy, nad ranem koniuszkami palców zbierałem resztki ciepła z pokrytej skórą książkowej oprawy, schowanej pod koldrą - w miejscu, w którym matka przełożona pozostawiła ją owego pierwszego wieczora. Tylko jeden fragment budził wątpliwości, niepokój, inny rodzaj gorączki - ten, w którym młody Karol, goszczący u jednego z francuskich księząt, kładąc się spać, zastawszy w swoim łóżu nagą kobietę, w dramatyczny sposób pozbył się jej, po czym, natychmiast, ciemną nocą, opuścił swojego gospodarza, nie bacząc na niebezpieczeństwa nocnego podróżowania. Kiedyś, zapytałem jedną z sióstr o sens tej opowieści.

- Uciekł przed grzechem - oznajmiła. - Naga kobieta to złego kuszenie.

- A co jest złego w kobiecie? - nie dawałem za wygraną, gówniarz.

Uśmiechnęła się.

- Zobaczysz. Kiedyś zobaczysz.

Pierwsza odwilż na klasztorным podwórzu nadeszła wraz z warkotem rodzicielskiego Trabanta, triumfalnie wyśpiewującego wiosenny powrót mamy i mój - do domu. Babcina kuchnia wyglądała dokładnie tak samo jak wówczas, gdy ojciec zabrał mnie na pobożne zimowanie - na rozżarzonej płycie bulgotał żur, Przybyłek, wbiwszy cyklopowy wzrok w dryftujący garnek, czekał na koniec bulgotania, dziadek, nachylony nad paleniskiem, rytał, podjudzał ogień, słowem - nic się nie zmieniło. Z czasem - zaczęły znów przychodzić - najpierw listy, pachnące daleką zagranicą, tadellos stilistisch, a następnie - wyczekane przez wszystkich, pakiety. I tylko noce, inne niż do tej pory, inkrustowane skórzanym ciepłem książki, lejdejskiej butelki, a może raczej - boromeuszowej - wstydliwie podkołdernej - stawały się różańcem sennym feber, pokutnych pieśni i panicznego lęku przed grzechem.

Moją karolową, oprawioną w skórę sypialnianą tajemnicę, babcia dostrzegła prawie natychmiast, postanowiła zatem, że w przyszłości - zostanę księdzem. Uszyła mi ornat, bogato zdobiony, zwieńczony pasem z wyhaftowanymi złotem literami IHS, wypożyczyła od Księdza Dziekana Rzymski Mszał, a ja, śpiewnie sylabizując każdą z zapisanych w nim łacińskich strof, odprawiać zacząłem regularne msze, na ołtarzu zbudowanym na fundamentach sypialnianej garderoby, gdzie tabernakulum stanowił, zamykany na kluczyk, barek, w którym wcześniej leżakowały, poskładane w kostkę, pachnące naftaliną, przygotowane na wypadek śmierci, babcine ubrania. Doszedłem wkrótce do prawdziwego mistrzostwa - opanowawszy (z pomocą dziadka, jak nikt inny, obeznanego z Kanonem) wszystkie gesty celebranta, nauczywszy się na pamięć wszystkich liturgicznych niuansów - wędrowałem, przyozdobiony, po całym domu, uroczyście rozdzielając komunikanty - małe okrągłe hostie wycięte ze świeżych jabłek, chowane w kryształowej kustodii - ślubnej pamiątce babci - zamykane na noc w prefuneralnej ciemnicy. Pojawił się jednak problem - ciało jabłkowe, chrystusowe - dość szybko czerniało, stawało się nieprzyswajalne, obce - nowym, dziwnym i przykrym zapachem, postanowiłem więc przedyskutować ten fakt z najlepiej poinformowanym.

- Każde ciało się kiedyś psuje - odparł dziadek.

- Nie mów mu takich rzeczy - wtrąciła babcia - ciało Chrystusa psuć się nie może.

- Chcesz powiedzieć, że istnienie Boga nie jest sprzeczne z biologią?

Odpowiedziało mu jedynie wzruszenie ramion, dnia następnego zaś, z samego rana, do drzwi zapukał kościelny - z paczką od Księdza Dziekana - w której, prócz błyszczącej zielenią stuły, leżały, jeden przy drugim - niekonsekrowane małe okrągłe opłatki. Corpora Christi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 03.07.2012 08:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.